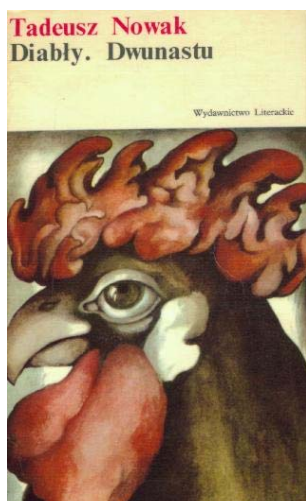


Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉



Tadeusz Nowak

Diabły

Warszawa 1971

Okładka wydania I obu powieści w jednym tomie z roku 1977.

Opracowanie graficzne:
Jan Bokiewicz.

Ilustracja na okładce:
Zofia Darowska.

Spis treści:

- **Rozdział 1**
- **Rozdział 2**
- **Rozdział 3**
- **Rozdział 4**
- **Rozdział 5**
- **Rozdział 6**
- **Rozdział 7**
- **Rozdział 8**
- **Rozdział 9**
- **Rozdział 10**
- **Rozdział 11**
- **Rozdział 12**
- **Rozdział 13**
- **Rozdział 14**

Wybacz mi, Proroku, że dopiero teraz odpowiadam na Twój list. Wcześniej nie mogłem spełnić Twojej prośby. Wprawdzie nie jestem chłopem, bo ten kawałek plebańskiego pola starcza za ledwie pod cebulę, marchew i

pietruszkę, ale odkąd nastąpił po śmierci Kanonika (Boże, świeć nad jego duszą) nowy proboszcz, tyle miałem spraw do załatwienia, że nawet nie mogę sobie przypomnieć, kiedy zeszło lato i jesień. Nie pomyśl czasem, że zapomniałem o Twoim liście. Trzymałem go w szufladzie biurka, z której, gdy byłeś mały, tak lubiłeś wyjmować cukierki, opłatki pozostałe po Wigilii i obrazki świętych nie rozdarte w czasie Kolędy.

Często też porządkując parafialne księgi i akta zniesione do mnie z polecenia nowego proboszcza, brałem do ręki Twój list i czytając go przez powiększające szkło (ostatnio wzrok bardzo mi się popsuł i okulary już nie wystarczają), przypominałem sobie Twoje dzieciństwo i lata chłopięce. Nawet gdy raz dłużej wpadałem w zamyślenie, przenosząc wzrok z Twojego listu na okno, przed którym rośnie klon, a spod jego liści widać schody prowadzące na kościelny chór, zjawiałeś mi się przy organach. Słyszałem też Twój przyspieszony oddech spowodowany zmęczeniem przy kalikowaniu. Ale też zjawiałeś mi się z głową uniesioną na drewniany strop kościółka pomalowany w Boga Ojca, Adama i Ewę i rajska jabłoń. Widziałem wtedy, że kusi Cię to jabłko trzymane przez Ewę. A może się mylę, może już wówczas bardziej Cię niepokoiły z taką znajomością rzeczy oddane przez artystę piersi naszej pramatki.

Ale do rzeczy. Nie obchodzą Cię przecież przywidzenia starego organisty chodzącego wiecznie w poplamionym stearyną surducie, z czupryną ledwie zmoczoną wodą i przyczesaną palcami. Pytasz o pamiętnik starej sołtyski. W istocie, pokazywałem Ci ten pamiętnik kilka lat temu, gdyś odjeżdżał na studia. Pisząc ten list mam go przed sobą na biurku. Jest bardzo zniszczony. Widać, że nie oszczędziło go słońce, muchy, a nawet tu i ówdzie dobrały się do niego mole. Muszę się przyznać, że nie bardzo miałem ochotę oddawać go w Twoje ręce. Choćby z tego powodu, że nie jest to pamiętnik pisany w całości przez starą sołtyskę. Wiesz, że pod koniec życia prawie nie widziała. Wtedy bywała u mnie co parę tygodni. Siadywała w wyłożonym poduszką fotelu, popijała drobnymi łyčzkami dereniówkę i dyktowała mi słowo po słowie swój pamiętnik. Nie zawsze zapisywałem jej opowieść dosłownie. Kusilo mnie, żeby od czasu do czasu jej opowieść wygładzić, upiększyć. Poza tym zdarzało się, że po jej wyjściu, przeglądając pierwszą część jej pamiętnika, spisanego przez nią samą, dodawałem całe stronicie objaśnień, a nawet podszywając się pod jej osobowość mówiłem za nią. Pod koniec życia powiedziałem jej o tym.

Kazała sobie przeczytać te objaśnienia i te fragmenty pisane niejako w jej imieniu. Nie żywiła do mnie za to urazy, ale też nie spostrzegłem, żeby była wyraźnie uradowana. A gdy nalegałem, żeby wyraziła swoje zdanie, rzekła: - Pan pisze od siebie i ja od siebie. Pan uogólnia i odrobinę zmyśla, a ja zapisuję całą prawdę. To może nawet dobrze. Jeśli to ktoś kiedy przeczyta, będzie widział naszą wieś niejako oczyma dwojga ludzi.

Postanowiłem spełnić Twoją prośbę i przesać Ci ten pamiętnik nie dlatego nawet, że traktuje on o naszej wsi. Raczej dlatego, że czytając go na

powrót zobaczysz jak żywą naszą sołtyskę. Ostrzec Cię tylko muszę, że w tym pamiętniku jest również i o Tobie mowa. Musisz to wybaczyć staruszce. Wiązała z Tobą tyle nadziei.

I jeszcze jedno, Proroku. Nie chciałem przeglądać tego pamiętnika, żeby się do cna nie rozsypały te stronicie nadgryzione przez mole. Owinąłem go w gazetę zaraz po wyjęciu z szuflady i wsadziłem do koperty. Być może, że przeglądając go i przepisując na maszynie, znajdziesz między kartkami wycinki ze starych kalendarzy, z pism chłopskich, a może się również zdarzyć, że tu i ówdzie zabłąkały się fragmenty kleconych przeze mnie jasełek, sztuczek wielkopostnych i nut z kolędami. Uporządkuj to wszystko i wrzuć do pieca, co zbyteczne i co uznasz za śmieć. Oczywiście man nadzieję, że zwrócisz mi rękopis z jednym lub dwoma egzemplarzami maszynopisu. U mnie nic ciekawego. Tyle tylko, że nie ma mi kto kalikować. Wszyscy chłopcy ze wsi poszli do szkół. Siedzę nadal nad kościelnymi papierami, porządkując metrykalne księgi.

Twój organista



1.

Wczoraj wieczorem narodził się Prorok. Parę dni wcześniej urodziło się koźlątko. Prorok i koźlątko przyszli na świat w stajni. Jedno na sianie, a drugie na słomie. O koźlątku wiadano, że się urodzi w stajni na słomie. Wiedziano od paru tygodni, odkąd koza grubiała coraz bardziej, wypijając wiadro solonej wody, przestała się urywać z powroza, żeby po nocach ogryzać ogon starej kobyły. Nic też dziwnego, że owo koźlątko było oczekiwane, wytęsknione, niemal wyśpiewane w zdrowaśkach porannych, w wieczornych zdrowaśkach, w litaniach słodszych od przesypującego się owsa, od siana suszonego na wrześnieowym słońcu, a układanych z wieku na wiek przez czarownice z myślą o nietoperzu, krogulcu, sowie i jaskółce chodzącej po dnie rzeki.

Sądzone powszechnie, gdyż koza była znana w całej okolicy i dalej, że jak zwykle urodzą się dwa koźlątko: jedno czarne, a drugie białe. Tak przecież z dawien dawna się rodziły. Za babki i za prababki, i jeszcze pewnie za tej kozy, która ongiś przywędrowała przez góry do Madziarów, i jeszcze za tej kozy, która była na początku w słowie, a dopiero później pod ręką Adama i Ewy stała się kopytkiem, skórą, brodą i rogami na ziemi rogatej po utraconym raju. Dziwiła się też gospodyni i gospodarz się dziwił, i dom po domu cała wieś się dziwiła, że ta koza rodząca co roku bliźniaki, czarnego koziółka i białą kózkę, urodziła jedynie koźlątko.

Jak tu zresztą się nie dziwić i jak się nie smucić, kiedy z dawien dawna było w zwyczaju oprowadzać czarnego koziółka czerwcową nocą trzykrotnie wokół wsi, żeby beczał na cienie poruszające się w sadach, chodzące w

kłószących się zbożach, żeby bódł ledwie wyrzynającymi się różkami drzewko po drzewku osikowy lassek. A wiedziano przecież, że w każdej młodej osicznie czarownice rodzą diabelski pomiot: nietoperza, który wwierca się we włosy i wyjada mózg; krogulca, który, gdy się człowiek zmęczony przy żniwach położy na trawie i zaśnie, wyjada mu wątrobę; sowę, która przelatując nad snem starców i noworodków płoszy z nich kropla po kropli wody żywe; jaskółki, które lekce sobie ważąc znarowiony nurt rzeki, chodzą po jej ilastym dnie, zagrzebując w mule zakochanie młódek i westchnienia młodzieniaszków.

A kiedy czarnego koziołka oprowadzono po trzykroć wokół wsi i za sprawą jego rogów i jego beku stało się to, co jest zapisane w księdze traw i w księdze wód, na bawolej skórze ziemi i sitowiu nieba, przywiązywano mu na niebieskiej wstążce srebrny dzwonek i prowadzono pod drewniany kościółek. Wbiegałem wtedy po drewnianych schodach na chór i mimo że był to czerwiec i co tylko nad polami uciszyły się maryjne pieśni, grałem tę kolędę o klęczącym wole zapatrzonym w leżące na sianie dzieciątko.

Gdy zbiegałem ze schodów, słyszałem już w kruchcie terlikający dzwoneczek. W tym kościele, a raczej kościółku, zbudowanym przed trzema wiekami bez jednego żelaznego czy też mosiężnego gwoździa, jako że pamiętano o męce Chrystusa, o męce Apostołów i Ojców Kościoła, podrzynano koziołkowi gardło. Podrzynano powoli, żeby nie naciąć tętnicy, żeby ciekła kropla po kropli ciemna krew na biały kamień umyty wcześniej wodą z rozpuszczonym mydłem, posypany białym piaskiem.

Jak się już wspomniało o tym białym kamieniu, trzeba rzec o nim wszystko co do joty. Jakoż nie był to kamień wyniesiony z rzeki i wyjęty z pola, nie był to też kamień ze spalonego domu, z jego progu, ani tym bardziej z nieba, chociaż najstarsi we wsi pamiętają te kamienie spadające z niebios, gasnące w rzekach, w jeziorach, w studniach na boży znak, że zaraza, wojna i głód chodzą już za lasem. Był to kamień z płaczu, kamień wyplakany łza po łzie przez to plemię, które ongiś przyszło w nasze strony z kozą, z krzemiennym toporkiem i z jednym ziarnem malwy skradzionej Mongołom. Na znak, że nie kłamię, że mówię szczerą prawdę, wystarczy przyjechać do naszego kościółka, schylić się i polizać językiem biały kamień. Słony jest, jakby go przed chwilą wyniesiono z wielickiej kopalni.

Nad tym kamieniem z płaczu, zresztą jedynym, jaki się znajduje w kościółku z drewna, zarzynano czarnego koziołka. A gdy z jego podciętego gardła, z przeciętej tchawicy, żeby nie beczał, uszła cała krew i uszedł dech, że nie poruszyło się kopytko ani nie drgnął róg, ani jeden włos u brody, zbierało się z kamienia przesiąknięty posoką piasek i rozsiewało po wiosennych polach, żeby nikt nie był głodny, żeby nikogo nie imać się zło, żeby ani jedna łza nie zaćmiewała słońca.

W tym czasie, kiedy biały piasek przesiąknięty krwią czarnego koziołka rozsiewano po wiosennych polach, biała kózka przystrojona w weselny welon, w wieniec upleciony z polnych kwiatów, stała na pagórku czysta,

wykąpana w świętym jeziorze, w którym przed laty utopił się proboszcz niosący po lodzie hostię dla konającego. Przed nią stał drewniany skopiec z udojoną siarą. Podchodziły do niej pojedynczo wszystkie panny ze wsi dotykając rękami jej łba z ledwie wyrzynającymi się różkami. Na pagórku, oprócz kory i stojącej obok niej sołtyski, nie było nikogo. Jedynie ona miała prawo czuwać i pilnować tego zwyczaju. Ona też, schodząc z pagórka do stojącej u podnóża wsi, opowiadała wszystkim pod przysięgą, co się na pagórku przydarzyło. A chodziło o rzeczy istotne.

Otóż jeśli kózka przestawała siorbać ze skopca siarę, wiadomo było, że jej rogów dotknęły ręce dziewicy. Nic też dziwnego, że dziewczyny, które wiedziały, jak pachnie skoszona łąka o zmierzchu, stryszek pełen zwiezionej czerwonej koniczyny, bielejące zboża duszne od upału, zbliżały się do kózki z igłą ukrytą w dłoni, a co przebieglejsze nawet z szewskim szydłem. I kłuły ją dopóty, dopóki kózka nie podniosła łba na niebo i nie zabeczała.

Wprawdzie zdarzały się kózki tak wniebowzięte siorbaniem siary, że nie pomagało nawet szydło służące do przebijania ryja knurom i wtedy również te dwie, trzy dziewice, jakie się uchowały we wsi, zbiegały z pagórka płacząc, nie przejmowano się tym zbytnio, zwalając całą winę, jak zwykle, na jurnych parobków zza lasu. Oczywiście lepiej było, jeśli kózka od czasu do czasu podnosiła łeb znad skopca. Wiedziano wówczas, do którego z domów należy wysłać swatów z wódką, kto ma nieść świętą Weronikę w procesji i która z dziewcząt godna jest podać Kanonikowi jedwabną poduszkę wyszywaną w gołębice i złote różyczki, a służącą do klęczenia. Ale jeśli kózka ani razu nie podniosła łba do nieba, zamiast na weselach tańczono na festynach, a poduszkę cierpiącemu na reumatyzm Kanonikowi podawał wyrostek przebrany za dziewczynę.

Zresztą ten zwyczaj z białą kózką służył w gruncie rzeczy zupełnie czemu innemu. Chyba od dawna, od pierwszych szpilek zrobionych z rybich ości, z miedzi i mosiądzu, nie bardzo wierzono w jego skuteczność. Dziewczyny, zwłaszcza te mniej rozgarnięte, chowane pod matczyną spódnicą, ukryte za świętym obrazem, za ogródkiem całym w malwach i piwoniach, drżały, gdy tylko ujrzały białą kózkę prowadzoną na pagórek, ale ich trwoga nie miała większego wpływu na wesela rozkręcające się po żniwach.

Ważne było to, że biała kózka stała na pagórku, piła siarę ze skopca, podnosiła od czasu do czasu łeb i spoglądała złotymi oczami w zaczynające się kłosić zboża, w sady coraz słodsze od zawiązujących się jabłek, gruszek i śliwek; w rzekę przepływającą pod pagórkiem, w której się kąpało noworodki, prało koszule i pieluchy, halki i staniki, bielilo len i konopie. Jakoż nie sprowadzano kózki zaraz po przejściu przed nią wszystkich dziewcząt ze wsi, ale dopiero wtedy, gdy wypita wszystką siarę ze skopca, gdy wyskubała do ostatniego piórka trawę rosnącą na długość powroza i gdy zaczynała beczeć z głową uniesioną na wiosenne niebo.

Wtedy najstarsza z kobiet, znająca pismo traw i pismo utajone w przelocie ptaków, umiejscawiając na supeł to, co nie daje się związać, i

rozwiązująca z węzłów, sęków i hub wszelakich skrofuły, flegmy, stwardniałe na siny kamień bolaki i jątrzące się od wewnątrz duszne węzły, podchodziła do kózki, zdejmowała z niej biały welon i odwiązując ją z powroza, puszczała z pagórka. Jeśli kózka zbiegając z pagórka kierowała się w stronę domu, wiadomo było, że wsi pisany jest, jak dobrze wypalony dzban, dzwoniący w zbożach, w ogrodach, sadach, w rozlicznych trawach, urodzajny i szczęśliwy rok. Jeśli natomiast kózka uciekała w pobliski lasek, wiedziano, że wszystko, co najlepsze, rozejdzie się na dróżki razem z podkościelnymi dziadami, na drogi z Cyganami i wodą popłynie ze śniętymi na upale rybami.

Tak było od lat, od czasów niepamiętnych. I nikt z tych ludzi, których znam i których znał mój ojciec, nie pamięta, żeby było inaczej. Dopiero tego roku wcześniej niż zwykle, o parę tygodni wcześniej, urodziła ta koza zamiast dwóch jedno koźlątko. A w parę dni po tym koźlątku przyszedł na świat Prorok. Bo jak inaczej można było nazwać to dziecko urodzone w stajni na sianie. Zresztą jeśli się myślało, a stara sołtyska umie myśleć, jeśli się szukało motka, czuło się pod palcami wiele wątków. A każdy z wątków aż się prosił, żeby go ułożyć w imię PROROK.

A pierwszy wątek to ten, że owo dziecko przyszło na świat po siedmiu dziewczynkach; a drugi to ten, że ojcowie jego byli już dziadkami; a trzeci, że nie mogło się urodzić w do-mu na łóżku, czy też w polu w bruździe, bo dom był rozebrany na bunkry, na okopy, ale w stajni w żłobie wyścielonym sianem. A jeszcze czwarty to ten, że akurat tej nocy, kiedy ono rodziło się na sianie, kończyła się wojna. Jeszcze piąty to ten, że wprawdzie nie mędrcy, ale szli ze wschodu, i szósty, że ścigali Heroda. Nad tymi sześcioma wątkami, z których jest utkana każda litera imienia PROROK, jak złota osnowa świeci twarz starej sołtyski. To ona przyjmując go na ręce rzekła: - Na początku było słowo, a słowo stało się ciałem. Jakiż on duży. Prorok albo co?

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)